Nr. 34. Lwów — 1889 r. Rok XI.

Numer pojedyńczy 15 ct.

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH.

„Goniec" i „Iskra" wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Oprócz tego tak do „Gońca" jak i do „Iskry" dołącza się stale osobny **Dodatek powieściowy** dla wszystkich prenumeratorów. Prenumerata *na obydwa pisma z dodatkiem powieściowym* wynosi tak w miejscu, jak i naprowincji kwartalnie: 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lnb w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*. Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Ś. p. Kazimierz Grocholski,

Prezes Koła Polskiego w Radzie Państwa, poseł na Sejm Krajowy.

(Rysowane z dawnej ryciny „Dziennika dla wszystkich.")

Szczęść Boże!

Kiedy role pług orze,
Ludzie mówią: „Szczęść Boże!
Choć stokrotne niech zrodzi się ziarno!"
Rolnik z wdzięczsością słucha,
Wstępuje weń otucha,
Rzuca zboże na skibę, na czarną.

Dźwięk mile w ucho bieży,
A w dźwięku tym moc leży,
Którą mu daje serce życzliwe;
I żadna ludzka mowa
Nie ma lepszego słowa,
Nad to nasze: „Szczęść Boże!" poczciwe

Komu najlepiej życzym
Na tym świecie zwodniczym,
W najważniejszej życia jego porze,
Dajemy mu z ochotą
Nie brylanty, nie złoto,
Lecz to nasze poczciwe: „Szczęść Boże!"

Gdy widzim bohatera,
Co jak Atlas świat wspiera,
Złe rozgramia, broni nieszczęśliwe,
Na tę drogę cnotliwą,
Ślemy za nim co żywo
Znów to nasze: „Szczęść Boże!" poczciwe.

Więc i wam ukochani,
Duchem z nami związani,
Gdy lata Nowego lśnią zorze,
Za najlepsze wiązanie,
Niechajże od nas stanie
Owo nasze poczciwe: „Szczęść Boże!"

E. J.

Od Redakcji i Administracji.

Właściwie rok naszego wydawnictwa zaczyna się w połowie lutego — czternastego, bowiem. lutego 1878 roku wyszedł pierwszy numer, a zatem za kilka tygodni rozpoczynamy dwunasty rok życia dziennikarskiego na lwowskim bruku, gdzie, jak wiadomo, nie jest znowu tak bardzo wesoło i rozkosznie, a jeśli o całym świecie mówi się, że jest „padołem płaczu i zgrzytania zębów", to Lwów jest wyborną szkołą do wyuczenia się śpiewania Tadeusza na wszystkie tony i sposoby... W tym dość długim okresie czasu, w którym, wyrażając się prosto i otwarcie, wiele rzeczy i przeszkód trzeba było brać bez ceremonji za łeb i rzucać pod nogi, a uczyć się cierpliwości, za jaką nawet święci dostają nagrodę — przyznają nam najnieprzychylniejsi, a jest ich tam, mniej wprawdzie, jak było, ale są jeszcze zawsze, że wytrwałości, silnej woli i świadomości celów swoich, okazaliśmy tyle, iż starczyłoby tego wszystkiego dla tuzinów tych przeróżnych pism perjodycznych, które w ciągu krótkiego życia spoczęły na wieki na dziennikarskiem cmentarzysku Galicji, Lodomerji z Wielkiem Księstwem Krakowskiem... Chwalić się też, zresztą, nie potrzebujemy — mamy za sobą fakta i tylu prenumeratorów, że tylko pisma codzienne *dobrze stojące*, mogą z nami iść w porównanie — największą jednak naszą zasługą jest to, że w liczbie tych prenumeratorów *kilkuset* jest takich, którzy przedtem żadnych pism nie prenumerowali...

Na tem miejscu uważamy też sobie za obowiązek wspomnieć z prawdziwem uznaniem o drukarni p. Szyjkowskiego (przedtem drukarnia „Gazety Narodowej"), z której wydawnictwa nasze wychodzą. Stosunek redakcji i administracji do drukarni jest rzeczą niezmiernie ważną, a rzetelność, sumienność, pilność i dobra robota drukarni, są niezawodnie dla każdej redakcji warunkiem szczególnéj wagi. Temi właśnie zaletami odznacza się drukarnia p. Szyjkowskiego, która wielu swoim koleżankom, szczególniej u nas we Lwowie, służyć może za wzór godny naśladowania pod każdym względem...

Otóż, „Goniec" i „Iskra" wychodzić będą dalej w tym samym formacie i tych samych rozmiarów. Zanim rozpoczniemy dwunasty rok naszego wydawnictwa, a zatem do połowy lutego b. r. w dodatkach powieściowych zamieszczać będziemy krótsze literackie utwory — zaś od połowy lutego, rozpoczniemy druk dużych rozmiarów powieści, która się przez czas dłuższy pociągnie.

A teraz prosimy uprzejmie i usilnie wszystkich naszych szanownych abonentów, o odnowienie bieżącej i odesłanie zalegającej preuumeraty. Prosimy pamiętać o tem, że opieszałość pod tym względem wyrządza krzywdę wydawnictwu, a pisma polskie wśród ciężkich warunków dla naszego społeczeństwa, zasługiwać powinny na serdeczne, obywatelskie poparcie.

Zwracamy też bliższą uwagę na ogłoszenie o *„Klejnotach humoru, satyry i dowcipu polskiego"*, pod naszą redakcją wychodzące.

Wszelkie pieniądze prenumeracyjne najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych do: *Administracji „Gońcu" i „Iskry" we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.*

Mowa w Sejmie nowego namiestnika Kazimierza hr. Badeniego.

Nie redagując pisma codziennego, nie czujemy się też w obowiązku notowania kronikarskiego z posiedzeń sejmu naszego, już choćby dla tego samego, że powtarzalibyśmy za panią matką pacierz. Pozostawiamy sobie tylko miejsce na artykuły omawiające ważniejsze wypadki w naszem polskiem parlamentarnem życiu, którego Lwów, stał się jedynem dzisiaj siedliskiem... Takim wypadkiem niezawodnie jest mowa naszego obecnego namiestnika, którą wypowiedział przy otwarciu teraz właśnie obradującej sesji sejmowej. Mowa ta, co do formy oratorskiej, prawdziwie piękną i czystą polszczyzną wypowiedziana, nie była dla nas niespodzianką, bo wiedzieliśmy dobrze, że Kazimierz hr Badeni posiada niepospolite wykształcenie literackie; jest pod tym względem znawcą, a dzieła najznakomitszych mistrzów pióra i myśli, były zawsze jego codziennymi towarzyszami. Ale treść tej mowy, odznaczającej się silną wolą służenia krajowi, gorącą chęcią połączenia wszystkich sił, aby lepiej było, oddanie bezwzględne swojej pracy, doświadczenia i talenta na usługi kraju — wszystko to zrobiło tak podniosłe i do głębi sympatyczne wrażenie, tem więcej, że z trybuny rządowej nigdy tego nie słyszeliśmy, iż nieprzejednani nawet przeciwnicy

polityczni, przed obywatelskim patrjotyzmem namiestnika, schylić czoło musieli. Słowa Kazimierza hr. Badeniego dowodziły także pewności siebie i tej energji w rządzeniu, z którą, ani żartować nie można, ani lekceważyć nie należy — mężowie tego rodzaju umieją słuchać, ale też umieją rozkazywać i kazać się słuchać, gdy ich stanowisko i charakter urzędu tego wymaga. Nowy namiestnik Galicji, może i ma prawo liczyć na szeroką sympatję i uznanie całego ogółu, bo wzniósł się po nad wszelkie antagonizmy i stronnictwa polityczne, a pragnie rządzić sprawiedliwie i zapisać się w pamięci i sercach swoich ziomków, czynami.

Od ręki.

= Z Ameryki.

W Minesocie, kilkunastu fortepianistów poszło o zakład, kto prędzej odegra...; chwyćcie się za serce, aby wam nie pękło, o miłośnicy muzyki poważnej!... kto prędzej odegra — sonatę. Dokazywano cudów szybkości, ale jeden ze współzawodników ogromnie daleko zostawił za sobą wszystkich zapaśników; puścił on ich, bowiem, o 120 taktów przed sobą, a mimoto dorżnął sonaty na pół minuty przed nimi. Myślę, że z pomiędzy obecnych na tym miłym koncercie, słyszący musieli ogłuchnąć, a głusi słuch odzyskali...

W Kentucky znów, pewien profesor muzyki *(sic!)* wyuczył swoją małpę tak, że teraz sama grywa na fortepjanie na cztery ręce, a nuty przewraca sobie ogonem...

Kto temu uwierzył, ten tembardziej uwierzyć musi i temu, że zwyczajni, dwuręczni pianiści amerykańscy, są w rozpaczy wobec tego „cudu" muzykalnego...

A kiedy już jesteśmy w Ameryce, stwierdźmy odrazu, że ten świat „nowy", jest pod wielu względami o wiele „starszym" od naszego. Tak naprzykład, nowe u nas „wystawy piękności", są tam rzeczą powszednią. Wszystkie niemal miasta, większe i mniejsze, urządzają tam od czasu do czasu wystawy pięknych dzieci i pięknych kobiet, a urządzają je od tak dawna, że już palmę piękności uzyskała niejedna matka dzieciom. która, jako dziecko otrzymała nagrodę przed dwudziestu kilku laty.

Nagrody takie przyznawane bywają zwykle przez głosowanie powszechne mężczyzn, które budzi namiętne zajęcie. Agitacja występuje z taką siłą, jak gdyby chodziło o wybór prezydenta. Rezultat głosowania wywołuje częstokroć gwałtowne protesty; wszczynają się krwawe bójki, z pośród których nagrodzone piękności muszą się salwować ucieczką. Nagrodzone panny, lub wdowy, zazwyczaj otrzymują suty posag...

= Co może wyobraźnia?...

Zadziwiającym bywa niekiedy wpływ wyobraźni. Każdemu niemal znana jest powiastka o nieszczęśliwym, na śmierć skazanym, który szmer ściekającej wody za krew swoją serdeczną uważał i skonał w przekonaniu, iż mu tę krew do ostatniej kropli wytoczono. Zdarzenie tegoż samego rodzaju, lecz nie tak tragicznie zakończone, podaje dziennik medyczny amerykański. Pewien lekarz w Nowym Orleanie, kazał stu chorym w szpitalu dać po łyżce zwyczajnej wody z cukrem. Była to próba: po upływie kwadransa lekarz wbiegł do tej samej sali, dając oznaki niepokoju, oznajmił przytem chorym, że przez omyłkę, w miejscu innego, łagodnego lekarstwa, napoił ich wszystkich emetykiem, że skutki objawią się zapewne na chwilę i trzeba przedsięwziąć środki jakieś, aby je o ile możności ułagodzić. Cóż się stało? Na sto osób, ośmdziesiąt natychmiast dostało wymiotów, a ciekawy niezmiernie jest szczegół, że byli to po większej części mężczyźni; kobiety, o wiele mniej wrażliwe, prawie wszystkie znalazły się po stronie owych dwudziestu chorych, niedoświadczających skutków wyobraźni i niedających się w pole wyprowadzić przez figiel lekarza.

= Ogromnie nam wesoło...

Otworzyły się upusty humoru lwowskiego i lunął siarczysty deszcz pism humorystycznych na bruk nadpełtwiańskiego grodu... Wprawdzie, ten kwaśny humor lwowski od pewnego czasu djabelnie podupadł na zdrowiu i wartoby go na kurację posłać do Karlsbadu, bo niedomagania jego głównie pochodzą... z żołądka. Kochanemu naszemu dziecku i współtowarzyszce „Gońca", pannie „Iskrze" nie zawadziłoby także jakieś lekarstwo — ale „Iskra" nie bita w ciemię, bo z mazurskiego łba wykrzesaną została i wiedząc o tem, że o drukowane rzeczy prawdziwie humorystyczne, jest tak trudno. jak o dobrych tenorów, przypuściła do pomocy innego rodzaju artykuły literackie, barwiąc ich humorem i ciętością, o tyle naturalnie, o ile stać ją na to i, o ile stosunki, jakimi jest związana redakcja, pozwalają. Oj te stosunki — czasem skórka za wyprawę nie stanie, a gębę, jak powiada p. Rewakowicz, trzeba mieć zamkniętą na guzik...

Owóż, ubrał się w nową sukienkę, pod nową redakcją „Śmigus". Wprawdzie cała treść „Śmigusa", jest, co się zowie lokalna i szerszego interesu nie budzi — ale przyznać trzeba, że dotknęła go się umiejętna ręka redaktorska i, że wiele w artykułach tego pierwszego numeru „Śmigusa" jest prawdziwego humoru. — Rysunki za to banalne, bez głębszej myśli, a jako satyra polityczna, są zanadto amatorskie... Z tem wszystkiem winszujemy p. Milskiemu, nowemu redaktorowi „Śmigusa" z całego serca i życzymy mu szczerze, aby zbierał obfite owoce ze swojej samodzielnej pracy redaktorskiej, która wprawdzie w naszej Galilei na różach nie sypia, ale czasem róże popowąchać może... Wyszedł też „Trefniś" p. Łukawskiego, a pan Webersfeld ma w tych dniach wypuścić... „Bąka"...

= Pogłoska, jak się mówi po lwowsku: „sensacyjna".

O ile to jest zgodne z prawdą, nie możemy w tej chwili powiedzieć, ale jednak jedno z pism tutejszych codziennych ogłosiło już, że pan Juljusz Starkel, dotychczasowy redaktor „Gazety Narodowej", obejmuje redakcję urzędowej „Gazety Lwowskiej". Wywołało to w pewnych sferach niemałe zadziwienie, a niektórzy literaci lwowscy, zgorszyli się z kretesem... Pomijając już to, że niejeden „z gorszących się", gdyby mu zaproponowano takie „gorszenie", ani jednej chwili nie namyślałby się w ten sposób „zgorszyć" — nie możemy znaleść dostatecznych i rozumnych powodów, aby literatowi polskiemu brać za złe, że redaguje urzędową „Gazetę Lwowską... Można zapatrywać się inaczej na wiele rzeczy, jak „Gazeta Lwowska", można potępiać pewien przywilej wydawniczy, jakim obdarzona jest ta gazeta — ale zasadniczo rzeczy biorąc, ze stanowiska naszych narodowych interesów, „Gazeta Lwowska" nie staje w poprzek interesom naszego społeczeństwa, jest pismem polskiem i pod względem literackiej wartości będzie pismem o tyle lepszem, o ile naczelny redaktor i współpracownicy jego, będą zdolnymi literatami. Jeśli więc prawdą się okaże, że pan Starkel obejmuje redakcję „Gazety Lwowskiej", to powinszować należy naczelnej władzy krajowej, bo pan Starkel jest, istotnie, zdolnym i utalentowanym pisarzem, a nadto, będzie to bardzo dodatnim rysem w rządach nowego namiestnika, Kazimierza hr. Badeniego, który widocznie czujnem okiem spogląda w około siebie i we wszystkich gałęziach pragnie mieć zdolnych, kompetentnych i pożytecznych pracowników.

= Quartier cottage.

Mało zwrócono publicznej uwagi na zamierzone przedsiębiorstwo dwóch tutejszych znanych architektów: pp. Lewińskiego i Zacharjewicza, a jednak jest to przedsiębiorstwo niezmiernej wagi i doniosłości, naturalnie, jeśli dokonane będzie tak, jak powinno być dokonane. Panowie ci, bardzo zdolni architekci i zamożni ludzie, na zakupionej 20-morgowej przestrzeni w okolicy Politechniki, będą budować ze sto willi parterowych o pięciu, lub sześciu pokojach ze wszelkiemi wygodami i dość obszernymi ogródkami, które następnie nabywać będzie można na własność spłatą miesięczną, jakby opłacanym czynszem. Jeśli to przyjdzie rzeczywiście do skutku, to przedsiębiorcy zrobią doskonały interes, a wiele rodzin stanie się, łatwym sposobem, właścicielami ładnych i wygodnych posiadłości, które z czasem staną się prawdziwą spacerową ozdobą miasta.

Jak słyszymy, projekt ten zaczyna wchodzić w wykonanie, zasięgniemy więc wszelkich bliższych szczegółów od samych panów przedsiębiorców i nie omieszkamy podzielić się niemi z naszymi czytelnikami, z których, oczywiście niejeden stanie się mieszkańcem lwowskiego *quartier cottage*, jak nazywają za granicą.

Kazimierz Grocholski.

(Do portretu).

Zmarły niedawno Dr. Kazimierz Grocholski, prezes Koła polskiego w austryjackiej radzie państwa i poseł na sejm krajowy, należał, niezawodnie, do tych ludzi, o których mówi się, że całe życie służyli społeczeństwu. Można się nie zgadzać na polityczne zapatrywania zmarłego posła, można było toczyć z nim zaciętą walkę z trybuny, lub w pismach publicznych — ale uczciwy i dobrej woli, musi przyznać, że był to mąż niezwykłego charakteru, podniosłego ducha, silnej woli i ożywiony zawsze dobrą wiarą w to, co robił, gdyż był przekonany, że dobrze robił — kochał też szczerze i głęboko naród swój, któremu służył wiernie i pracował wedle sił swoich, rozumu i tych przewodnich myśli, które podług jego zapatrywania się najlepiej i najskuteczniej prowadziły do celu, chociaż czasem, aby się dostać do szerokiej drogi, szły manowcami i krętemi ścieżynami... Ś. p. Grocholski nie od lat młodych rozpoczął swoją karjerę publiczną na roli i na trybunie parlamentarnej — w latach młodych był po skończeniu uniwersytetu, małym urzędnikiem w prokuratorji, czy dyrekcji skarbowej i dopiero później ożeniwszy się, osiadł na wsi, jako dziedzic w Rożyskach, gdzie też złożył po latach kilkudziesięciu swoje poczciwe kości...

Na szlachtę ś. p. Grocholski miał wpływ ogromny i decydujący — u ludu wiejskiego mir wielki i posłuch — miał też Grocholski coś z chłopskiej natury: był uparty, a w niektórych zapatrywaniach ekonomicznych i gospodarskich, szlachcic bene natus i possesionatus, trzymał się chłopskiej polityki i mówił razem z nimi, nawet z trybuny publicznej: „naj bude, jak buwało"...

Bogatym Grocholski nie był — gospodarował tylko na jednej wsi podolskiej — powagę jednak u rządu miał tak wielką, a zdanie jego było u samego monarchy tak decydujące, że całe wielkie stronnictwa polityczne liczyć się z nim musiały. Do wszelkich spekulacyj pieniężnych nie porywał się nigdy — to, co miał, wystarczało mu i, jakby nie chciał więcej mieć, bo się o więcej nie starał, choć mógł...

Przez pewien czas był w gabinecie Hochenwartha, ministrem dla Galicji. Oryginalny to był minister austrjacki pod względem powierzchownym, gdyż Grocholski nigdy swojej polskiej czamary i konfederatki nie porzucał, i tak ubrany zasiadał na ławie ministerjalnej w parlamencie, na radach ministrów, a nawet w takiem odzieniu, bywał na audjencjach u cesarza. Po niemiecku mówiąc często zacinał się, i widocznie w myśli tłómaczył sobie z polskiego — jako mówca polski, nie odznaczał się kwiecistym stylem, ale umiał się posługiwać silnymi i oryginalnymi argumentami i dosadnością. Raz powziętego zdania, nie zmieniał nigdy.

Urodził się w 1815. r. — umarł wdowcem i bezdzietnie. — Pogrzeb odbył się kosztem kraju.

Kaprys hrabianki

przez

Wincentego hr. Łosia.

Już z dziesięć lat mijało, jak ukończywszy szkoły, zakopałem się na wsi, aby zarabiać na chléb. Straciłem z oczów kolegów uniwersyteckich z Krakowa i innych znajomych pierwszej złotej młodości.

Zaledwie czasem dochodziły mnie wieści o nich, że ten się ożenił, ów umarł, a tamten wyszedł na znakomitego autora, czy malarza. Ale setki zginęło w zamęcie życia i jego walki.

Smutno mi się przyznać, lecz najmniej, a może nic nie wiedziałem o tych, z którymi mnie najściślejsze w swoim czasie, wiązały węzły przyjaźni.

Najrzadziej mi się obijały o uszy nazwiska tych właśnie, z którymi na jednej ławie słuchałem wykładów profesorów, z którymi niejedną noc spędziłem nad kodeksem praw, czy kartami gorączkowo obiegającemi w partji bakarata.

Dziwne koleje życia! Bo właściwie jakby przez igraszkę losu, ani razu, od czasu opuszczenia Krakowa nie spotkałem Zbigniewa Koryńskiego, mego kolegi ze szkół i uniwersytetu, może jedynego prawdziwego przyjaciela sześciu lat uroczej, pełnej nadziei i iluzyj młodości.

Ale bo też ten Zbigniew był najsympatyczniejszym typem młodzieńca. Wychowany wzorowo przez kochającą go nad wszystko matkę, dziwnie zdolny i wykształcony, niezmiernie żywy, wesoły — a w uczuciach swych świeży i młody.

Ta świeżość jego serca, ta szlachetność jego duszy, czyniły go sympatyczniejszym z śród tysiąca innych. W tej delikatności uczuć i wykształcenia, czuć było troskliwą miłość macierzyńską, kobiety z sercem i rozumem.

Odbijał on od wszystkich swych kolegów, jak odbija w oranżerji, cieplarniana roślina, delikatnością i barwą swych liści, zapachem swego kwiatu.

Panicz! — nazywali go koledzy, zahartowani od kolebki do życia rzeczywistego, pozytywni, realni w swych poglądach. Ale panicz ten, był jednym z najbardziej obiecujących słuchaczy prawa i filozofii.

— Koryński daleko zajdzie, — mówił niejeden profesor i toż samo twierdziliśmy wszyscy, widząc tę niezwykłą wrodzoną zdolność, popieraną ambicją i najszlachetniejszemi o zadaniach i celach człowieka — pojęciami.

Zbigniew był przytem bardzo przystojnym i majętnym. Jego świeża, rumiana i ściągła twarz, o pięknych i regularnych rysach, o delikatnym puszku pod nosem, o w tył niedbale zarzuconych blond włosach, w zupełnej była harmonii z jego charakterem. — Dużo artysty! dosyć mężczyzny! nieco kobiety! określił doskonale Koryńskiego, nasz kolega, a dzisiejszy znakomity powieściopisarz.

Przylgnęliśmy do siebie całą siłą naszych, niestarganych jeszcze uczuć.

Z prawdziwym też żalem rozłączaliśmy się. Obaj, po sześciu latach wspólnej pracy, bogaci w świadectwa krakowskiej *almae-mater*. Pełni wiary, dumy, nadziei, obaj uśmiechaliśmy się do życia z wyrazem tryumfu i pogody.

— Życie do nas należy! — zawołał już w wagonie pędzącym ku granicy pruskiej Zbigniew, który nauki ukończył z odznaczeniem, a któremu dotąd jego piękna postawa i piękna również dusza, jednały sympatje wszystkich.

Smutno mi się zrobiło.

Odchodzący pociąg świstem lokomotywy zamykał niejako pierwszy tom mego życia.

Mniej zdolny, mniej mający szczęścia do ludzi, mniej hojnie przez naturę uposażony, nie powracałem w rodzinne strony z tą co Koryński wiarą w przyszłość, z tym wesołym i pełnym zaufania do życia uśmiechem.

W kilka godzin później odchodzący pociąg w strony wołyńskie unosił i mnie także. Wprawdzie przyrzeklismy byli sobie często do siebie pisywać, nieraz się spotykać i odwiedzać, aleśmy żadnej z tych obietnic nie dotrzymali.

Nasze koleje były różne.

Mnie rzeczywistość zaprzęgła do pługa, Zbigniew napawał się tylko wonią kwiatów życia i smakiem jego owoców.

Ja gospodarowałem na kawałku rodzinnej i ciężkiej ziemi; on, jedynak i dziedzic dużej fortuny — używał.

Nasza korespondencja trwała krótko. On mi obszernie opisywał wrażenia swe, wyniesione z Paryża, a ja mu w odpowiedzi na to, zdawałem relację z swych zatargów o miedze i służebności, z sąsiadami i chłopami.

Po roku korespondencja się urwała, przeszedłszy wszystkie fazy listownych stosunków ludzi, unoszonych wichurą życia w przeciwne strony. I minęło lat dziesięć, w których nazwiska nawet Zbigniewa Koryńskiego nie usłyszałem.

Czasem stawał mi w myśli wyraźnie jego portret o delikatnych konturach, lekkim namalowany pędzlem, lecz gdzież go było szukać? Czasem żywo mi się nasuwały wspomnienia, tak silnie mnie ze Zbigniewem wiążące. Zasmucały mnie i rozmarzały, lecz na krótko, bo w kuźni życia nie było czasu na sny młodości. Dziwiło mnie tylko, żo o Zbigniewie nie słyszę, że jeszcze nie wyszedł na znakomitość jaką, ku czemu miał wszelkie warunki. Dziwiło mnie, że nigdy nie dochodziło mnie echo czynów człowieka, po którym wszyscy czegoś się spodziewali.

Ten był już doskonałym adwokatem, ów zachwycał powieścią, trzeci i czwarty wchodził w szeregi głośnych pracowników, z którymi się kraj liczył, a o najzdolniejszym, o najszlachetniejszym cisza! Czyżby nas Zbigniew zawiódł, czyżby się potknął na śliskiej drodze żywota? Wreszcie sam zajęty po uszy pracą na roli, zapomniałem zupełnie o Koryńskim.

Praca moja przyniosła mi owoce, bo w dziesięć lat po rozpoczęciu gospodarstwa, uznałem za stosowne wybrać się do Warszawy na wystawę rolniczą. Prowadząc za sobą kilka wagonów pysznych koni, jałowic i owiec — nadzwyczajne okazy buraków i marchwi, podążyłem do syreniego grodu.

Warszawa wyglądała odświętnie. Tysiące ludzi uwijało się po ulicach; ruch, zgiełk i gwar wielkiego miasta, panował wśród jego wysokich i popielatych murów, od świtu do nowego niemal świtu.

(Dokończenie w dodatku).

Teatr.

Spora wiązka uciułała nam się pod dzisiejszą rubrykę teatralną. Przedewszystkiem, choć to rzecz nie nowa, ale górująca po nad wszystkie nowości: wznowiono na naszej scenie tragedję Słowackiego p. t. *Marja Sztuart*. Rzecz godna uwagi, mogąca służyć, jako argument rzucony w oczy tym, którzy twierdzą, że na sztuki poważne, szersza publiczność uczęszczać nie chce — tymczasem na *Marji Sztuart* Słowackiego, zapełniony był cały teatr. Odegrano arcydzieło Juljusza, w ogóle poprawnie, a wśród dobrze grających artystów, wyszła na pierwszy plan postać błazna Nicka, którą p. Kwieciński odegrał znakomicie i sześć, czy więcej razy został przywołany przez wzruszoną do głębi serca publiczność...

Nowa komedja Ohneta p. t. *Wielka Marglownia* coś w siedmiu, czy ośmiu odsłonach, chociaż to autor ustalonej sławy we Francji, a po części i w Europie, wcale nas nie zachwyciła. Najprzód, podobna jest pod względem tendencji i kolorytu do „Właściciela Kuźnic“, tegoż autora, a powtóre motyw kryminalny ze wszelkiemi dochodzeniami śledczemi i sądem, dla autora istotnego talentu, wydaje nam się błahy i banalny tem więcej, że cała ta krymiualna intryga prowadzona jest tak po dziecinnemu, iż pierwszy lepszy niedorostek, zaraz na początku domyśli się wszystkiego. Romans też wplątany w tę sceniczną kryminalistykę, jest także dosyć pospolity. Jeśli mamy prawdę powiedzieć, to pomimo, że to rzecz duża, a i role są dość obszerne. powszedniość postaci, jest tak wybitna w tym utworze Ohneta, że artyści nawet takich talentów, jak pani Stachowicz, oraz pp. Woleński, Kwieciński, Zboiński i Ruszkowski, grający główne role, nic zrobić nie mogą, bo nie ma nic do zrobienia. Wprawdzie, autor wśród drugo i trzeciorzędnych postaci, miał zamiar widocznie ściągnąć uwagę widzów na wybituiejsze figury, jak np. idjotę Rudego i pijaka kłusownika, ale skończyło się to na kilku rysach ostrzejszych i kilku scenach jaskrawszych, które pomimo wcale dobrej gry pp. Wysockiego i Piaseckiego, samej sztuce nic nie pomogły.

Model na bohaterkę, jednoaktowa komedja z niemieckiego, jakkolwiek przedstawiona, jako nowość, ani na naszej, ani na żadnej scenie nowością nie jest. Około r. 1868. komedyjka ta, przerobioną i zlokalizowaną została przez M. Dzikowskiego (Chamskiego) p. t. „Autor w kłopocie“, drukowana była w warszawskiej „Gazecie Polskiej“ i przedstawiana we Lwowie kilkanaście razy za dawnej dyrekcji Miłaszewskiego, oraz w Warszawie za reżyserji ś. p. Chęcińskiego. Dopiero teraz panu Władysławowi Bogusławskiemu przypomniało się o tej „nowości“ i przetłómaczył ją słowo w słowo na język polski. Rzecz to dosyć zręczna i wesoła, do której wchodzą tylko trzy osoby, ale żeby na nowo brać się do tego, co już było przerabiane, drukowane i ograne, to chyba... szkoda czasu na taką błahostkę.

Komedyjkę tę pani Kwiecińska, pp. Żelazowski i Hierowski, odegrali wyśmienicie.

To, co ludzie dobrej woli i znający nasze siły, zawsze utrzymywali, że możemy się zupełnie obyć bez *włoskich przypraw* i utworzyć we Lwowie dobrą operę polską, okazuje się faktem. Cztery z rzędu debiuty rozpoczynających zawód śpiewaczek, rozwiały pesymizm nawet tych, którzy o wszystkiem zwykli wątpić... z założonemi rękami...

O dawniejszym występie panny Heller i o niedawnym debiucie panny Frenkel-Niwińskiej, już pisaliśmy — pozostają nam jeszcze dwa: panny Patkiewicz i panny Pawlików.

Natura głosu panny Patkiewicz jest prześliczna — jest to mezzo-sopran najszlachetniejszego rodzaju, sięgający contre-altu. Panna Patkiewicz po raz pierwszy śpiewała Małgorzatę w „Fauście“. Głos jej wywarł głębokie wrażenie, a chociaż znano już po części pannę Patkiewicz z estrady koncertowej, ale ci nawet przyjemnie zadziwieni zostali... Oklasków było masa — ale, zdaniem naszem, ci od których to zależy, a w pierwszym rzędzie komisja artystyczna, powinnaby pomyśleć o losie takiej polskiej śpiewaczki, który jak słyszymy, jest przykry... Materjał wokalny panny Patkiewicz jest tego rodzaju, że jeśli rozwinie się zupełnie, owładnie go sztuka i nauka — stoi przed nią otworem... Europa...

Panna Pawlików, także znana z estrady koncertowej, jest sopranistką. Głos ładny, czysty, dość dźwięczny, chociaż wydawał nam się nieco przyćmiony — może zresztą, skutkiem wzruszenia tak naturalnego przy pierwszym występie. Panna Pawlików śpiewała po raz pierwszy Rachelę w „Żydówce“. Oprócz powyższych zalet, głos panny Pawlików posiada pewną miękkość i słodycz, szczególnie w recitatiwach. Czuje się i widzi, że śpiewczka jest bardzo muzykalną. Wygląd panny Pawlików jest, co się zowie sceniczny: okazała postać, rysy wydatne o szlachetnym rysunku — kobieta piękna, co się zowie..

Niezwykłe zainteresowanie budzi talent wokalny, pana Jerzyny — młody ten śpiewak uważany do niedawna, jako operetkowy tenor, wystąpiwszy w kilku operach z rzędu, w głównych partjach, pomimo usterek i często niepotrzebnego forsowania, okazał prawdziwy talent wokalny szerokiego zakresu, a ostatni występ jego w „Żydówce“, w której śpiewał Eleazara dowiódł, że p. Jerzyna stanowczo i wyłącznie piękny swój talent poświęcić powinien tylko operze...

Z największą przyjemnością notujemy, że kierownictwo opery we Lwowie objął pan Mieczysław Kamiński. Widać to z reżyserskich szczegółów i szczegółów, i z ogólnego kierunku odnośnie do sił swojskich. Pan Kamiński europejskiej sławy artysta, nie uronił, ani odrobiny z tych zacnych, patrjotycznych uczuć, które mu w sercu zaszczepił tyle zasłużony scenie i literaturze naszej śp. ojciec — spodziewamy się też, że pod jego umiejętnem kierownictwem, znawstwem i szlachetną przewodnią tendencją popierania sił swojskich — opera polska we Lwowie zaliczy się wkrótce do pierwszorzędnych. Do osiągnięcia dobrych rezultatów pomogą: prawdziwe i wszechstronne wykształcenie pana Kamińskiego i dusza artystyczna samego dyrektora Barącza, który posiada tak fenomenalne uzdolnienie i wykształcenie muzyczne, że jest z pewnością muzykalniejszy od połowy „specjalistów muzycznych“ we Lwowie i nie we Lwowie.

Ze świata książkowego.

Rzadko, bardzo rzadko przychodzi nam zajmować się rozbiorem napisanych książek — dziś nadesłano nam streszczenie i ocenę oryginalnej pracy ciekawej i pouczającej dla szerszej publiczności, a jednak noszącej na sobie cechę specjalnej nauki — dlatego, nadesłaną ocenę zamieszczamy. Oto jest:

Analiza kształtów architektury (z 22 tablicami rysunków) przez Kazimierza Kleczkowskiego — Warszawa. Z zapomogi Kasy Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia Dr. Med. Józ. Mianowskiego.

W szczupłym szeregu prac na polu dzieł specjalnych, a w szczególności na niwie estetyki, dziełko pod powyżej wymienionym napisem przychodzi nam powitać z wielkiem uznaniem. Praca P. Kleczkowskiego nie napisaną też jest dla samych specjalistów, lecz dostępną on ją uczynił dla miłośników sztuki, jak i dla szerszego ogółu, przez co położył pewien rodzaj zasługi.

Część pierwszą ogólną p. Kl. dzieli na siedm rozdziałów. W dziale pierwszym rzuca ogólne poglądy na analizę, wypowiada w pewnej mierze zapatrywania na sztukę, lecz, że nie określa jasno rzeczy i odbiega często od założenia, rozdział ten wypadł autorowi najmniej szczęśliwie z całej pracy. Niepotrzebnie na tem miejscu p. Kl. dotyka też „krytyków samozwańców“. Sądzimy, że w dziełkó tego pokroju co „Analiza kształtów architektury“ polemika moralizowania — wreszcie, przycinki do pewnych osób nie są zupełnie na miejscu!

Co innego już jest, gdy p. Kl. twierdzi o potrzebie znajomości teorji, a tembardziej w sztuce, jak architektura. Znajomość jej jest konieczną, gdy idzie o stworzenie stylu nowego, bo tu należy kształty dawne badać. Taką jest, bowiem, estetyka tegoczesna, będąca historyczną, a nie narzucającą przepisy, lecz zaznaczającą prawa.

Po tym rozdziale przechodzi autor do „linij pionowych“ rozpoczynając od kolumny, jako od najprostszego i najdawniejszego organu, który pokrycie w poziomem położeniu utrzymywał. Wspominając dalej o sztuce greckiej, której zaczątki przeszły od egipcjan, p. Kl. znów powraca do kolumny, jak doryckiej, junickiej, romańskiej i z epoki średniowiecznej.

Rozdział trzeci: „linje krzywe“ rozpoczyna od rysu historycznego tworzenia się kapitelu (głowicy), następnie mówi o krzywiznach, jak o cymatium, wałku, chinusie i t. p. Streściwszy uwagi nad nimi wyprowadza wniosek, iż charakter krzywych pod estetycznym względem jest trojaki. Jedne wyrażają dążenie ku górze, inne ku dołowi, nareszcie, takie, które neutralny kierunek wyrażają.

Na podstawie powyższego oznacza metodę wykreślenia pewnych krzywolinijnych organów i całości z samych krzywych ukształtowaną, podając między innemi za przykład, złożone kształtowanie wieży zamku królewskiego w Warszawie.

Nie wszystkie jednak tu wywody p. Kl., tłómaczące ich powstawanie wydają nam się zgodnymi z pojęciami tworców tych krzywizn. Sądzimy więc, że tłómaczenie ich jest nieco, że się tak wyrazimy, naciągnięte.

Rozdział czwarty p. n. „Zasłona“ jest już zato jednym z najlepszych z całego dziełka. Wywody autora jasno tu określane mogą się podobac i, o ile są samodzielnie wypowiedziane świadczą, iż p. Kl. jest dobrym filozofem kształtów architektury, że zastanawia się głęboko nad każdym szczegółem, umie zgłębiać ducha sztuki — bada go dokładnie.

Przechodzimy teraz do rozdziału „Wieńczenie“.

Jeżeli zjawisko ma być skończonem, wymaga ścisłego od reszty świata odgraniczenia, to też w dolnej swej części bywa odgraniczonem od ziemi cokołem; u szczytu pokryciem — wieńczeniem. Zadanie to jest dwojakie: utylitarne i estetyczne. To też z tego wypada, że każdy nowy styl od nowego systematu pokrycia się zaczyna, np. słabo nachylony pod kątem fronton helleńskiej świątyni, odróżnia jej fizyognomję od wszelkich innych stylów architektury. W górę zadarte pokrycie jest główną przyczyną komicznego wrażenia, jakie w nas pagody i kijoski chińskie wzbudzają i t. d.

W średniowiecznej epoce podziwiamy wieńczenie wież.

Wieża wysoka powstała wraz z koncentrowaniem władzy w ręku jednostki, lub pewnej warstwy społecznej. Jest ona zatem symbolem wyższości tych, którzy ten monument wznoszą. Wieża wysoka stała się niezbędnym katedry i ratusza miejskiego atrybutem. Przeznaczenie jej było dwojakie: utylitarne — czuwanie z jej szczytu nad bezpieczeństwem publicznem i estetyczne wyrażenie w materjalnej formie duchowego nad wszystkiem, co ją otaczało panowania.

Główną charakterystyczną cechą całości architektonicznej, prócz jej konturów ogólnych, jest stosunek świetlnych otworów do pełnych części budowli. Do przewagi świetlnych otworów przywiązanem jest pokrycie z szerokim naprzód wyskakującym okapem jak np. szalety szwajcarskie, drewniane budowle północnej Europy i inne. Przeciwnie zaś tam, gdzie brak świetlnych otworów, jak np. w starożytnych domach maurytańskich, okapu szerokiego na zewnątrz nie widać. Przyczynę tego zjawiska upatruje p. Kl.

w warunkach klimatycznych, jako też i w socjalnym ustroju danego społeczeństwa.

Mówiliśmy o pokryciu zewnętrznem.

Wewnętrzne kształtowanie pokrycia również ma swoją charakterystykę. Charakterystyka ta jednak zależy od geometrycznego kształtu n. p. galerjom i miejscom przeznaczonym na ciągłą komunikację właściwe są sklepienia beczkowe; sklepienia kopulaste są cechą zamkniętej przestrzeni i t. p.

W rozdziale pod napisem: „Miara i Współmierność“ czytamy, że przez porównanie przedmiotu z zewnętrznym światem, wytwarzamy sobie dopiero pojęcie o właściwych mu wymiarach.

W architekturze pierwszą miarą porównania jest otaczająca natura. Gdzie w niezmierzonej rozciągłości krajobrazu, oko ginie wśród oceanów afrykańskiej pustyni, gdzie dwie równoległe linje nadnilskiego wąwozu gubią się w nieskończoności, wytworzyć się musiało nadzwyczajne pojęcie miary o jednostce estetycznej.

Wprost przeciwne o wielkości wyrodziło się pojęcie w Grecji, gdzie góry są pagórkami, a rzeki od strumieni nie większe, gdzie roślinnność z tym umiarkowanym obrazem pozostaje w harmonji.

Niewielkich też była i rozmiarów helleńska świątynia, bo do wzrostu człowieka zbliżona. Z charakterem więc krajobrazu artysta musi się liczyć nietylko pod względem wielkości skali, ale również w kształtowaniu budowli.

Jakkolwiek konieczność jedności miary w architektonicznych pomysłach być musi, to wszakże nie jest ona jeszcze jedynym warunkiem harmonijnej jedności. Nietylko, bowiem, raz przyjęta miara zachowana być winna, ale ta jedność w jej ułamku, jak i w całości konsekwentnie przeprowadzoną być musi.

Rzecz jasna, mówi p. Kleczkowski, iż wszystko co z jednego zarodku, z jednego jądra pochodzi, powinno nosić na sobie charakterystyczne piętno jedności pochodzenia z tego źródła. Pochodzenie to przezierać musi, tak w stosunku całości względem cząstek, jak tych ostatnich względem siebie samych. Mówiąc dalej o liczebnych stosunkach, wspomina p. Kl. o powszechnie przyjętej zasadzie t. z. modułu i krytykuje takową w sposób właściwy a trafny, na który to sąd z autorem zgodzić się najzupełniej możemy; — wspominając w dalszym ciągu o złotym dziale, czyli dzieleniu całości w średnim i skrajnym stosunku, dowodzi i uzasadnia prawo to za innymi na najdoskonalszym architektury wyrazie, na świątyni na Akropolis ateńskiem, w Partenonie.

Autor pracy p. Kl. snadź tu już nie śledził najnowszych odkryć uczynionych na tem polu. Badania bowiem ostatnich czasów, stwierdziły liczbami na sztuce greckiej, jako też i rzymskiej — wskazały prawa oparte na niezbitej podstawie — prawa ugruntowane na zasadzie praw natury. Pan Kl. więc w swem dziełku nie powinien był o tem przepomnieć. Uważamy, że tem uczynił uszczerbek nietylko pracy swej, lecz i czytelnikowi!

Przechodzimy wreszcie w końcu do rozdziału siódmego i ostatniego tej pracy, do „kształtów ogólnych“. Wszystko co nas otacza, mówi p. Kl. jest pewnej siły wyrazem. W naturze forma z największą subtelnością zmienia się ze zmianą siły, której jest zewnętrznem uzmysłowieniem.

Pierwszym przejawem piękna jest porządkowanie nieograniczonej przyrody. Grubo obrobione, lub w stanie naturalnym kamienie Menghirów, Dolmenów i Kromlechów, należą już do dziedziny sztuki, w ich układzie bowiem przejawia się myśl uczczenia Wyższej Istoty t. j. Boga w porządku.

Tak samo jak w naturze, tak i w pięknych przejawach ducha ludzkiego, w każdem zjawisku widzimy siłę i jej produkt materję. W krytyce piękna siłę nazywamy ideą, materję kształtem, formą, zjawiskiem. Celem, zadaniem sztuki jest uczynienie jej dostępnej dla zmysłów, za pomocą konkretnej formy duchowej idei. Sposób wyrażenia tej myśli w formie, nazywamy stylem. W sztuce odróżniamy trzy fazy przejściowe stylu. Styl symboliczny, styl klasyczny i styl nowy.

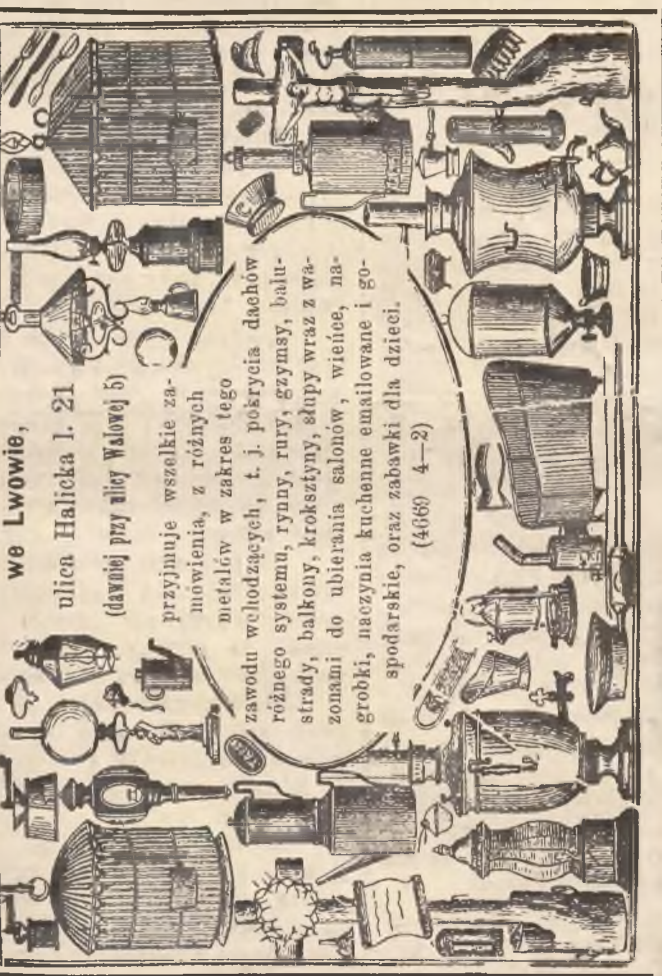
Oto w tych mniej więcej myślach, przedstawia się praca p. Kleczkowskiego, którą streściliśmy. Dziełko to jednak, z innych względów nader cenne razi nas, co zaznaczyć jeszcze w końcu musimy — brakiem czystości języka.

Pan Kleczkowski tak mało na to zwrócił uwagi, że nie ma prawie jednej stronnicy w jego pracy, by zdania nie były pełne obcych zwrotów, a często kroć i bez związku. Wygląda to, jakby było złym przekładem. I napozór rzeczywiście można czynić tę uwagę, lecz ze względu, że poniekąd jesteśmy w tajemniczeni w dzieła obce — wiemy więc o p. Kleczkowski zaczerpnął tak z Viollet-le-Duc'a, H. Taine'a, K. Lemckego jak i innych, co rozwinął z ich i obcych poglądów, a co sam wypowiedział. Pracę więc jego uważać musimy za samodzielnie pomyślaną, nie kompilatorską i nie przekład. Dziełem swem p. Kleczkowski dowiódł, iż umie zgłębiać ducha sztuki, że posiada umysł bystry i najsubtelniej wnikający w najdrobniejsze szczegóły, a ojczystej technicznej literaturze, może oddać niepospolite usługi.

Polecamy więc czytelnikowi zapoznać się bliżej z tą nader cenną pracą.

Witold Krzesiński.
architekt.

Nadesłane.





Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ulica Kopernika l. 5. — Telefon Nr. 117.

Dodatek z reklamami i ogłoszeniami do „GOŃCA" i „ISKRY".

Uwaga! Dodatek ten wydrukowany jest od razu do dwóch numerów „Gońca" i do dwóch numerów „Iskry", a zatem do *czterech numerów*, na co się zwraca uwagę dla uniknięcia nieporozumień przy obliczaniu ilości reklam i inseratów.

W miarę wychodzenia numerów, dołącza się do każdego nakładu oddzielnie, niezależnie od innych dodatków.

W Limanowie znajduje się handel korzenny i połączonych z nim odpowiednich towarów p. *Rozwadowskiego*. Na ten handel zwracamy szczególną uwagę tak całej okolicy, jak i przejezdnych, ponieważ pod każdym względem zasługuje na to. P. Rozwadowski, właściciel tego handlu, obywatel powszechnie szanowany, prowadzi cały interes ze skrupulatną rzetelnością, towary sprowadza z najlepszych źródeł, a magazyny swoje i piwnice ma tak obficie zaopatrzone, że mógłby rywalizować z pierwszorzędnymi handlami tego rodzaju w wielkich miastach. 4648—6—5 d.

W Horodence znajduje się restauracja p. *Leopolda Zycha*, która się poleca Szan. Publiczności tak przejezdnej, jak i okolicznej i miejscowej, z wyborną zdrową i smaczną kuchnią, oraz wszelkimi napojami. Czystość wzorowa, obsługa skrzętna, a sam gospodarz dokłada wszelkich starań, aby Szan. Goście należycie byli obsłużeni. 4649—6—5 d.

Na hotel centralny w Krakowie, znajdujący się na placu Matejki, tuż koło dworca kolejowego, zwraca się szczególną uwagę podróżujących. Jestto hotel elegancko i wygodnie urządzony, w którym panuje wzorowa czystość, doskonała usługa, a przy tem jest tani. Tramway staje przed samym hotelem. Właściciel tego hotelu, wglądą we wszystko i pilnuje wygód gości. Osobne szczegóły o tym hotelu znajduje się między ogłoszeniami „Gońca i Iskry". 3650—10—2 d.

Z Brodów.

Ze wszech stron dochodzą nas wiadomości, że piwo wyrabiane w browarze Halperna w Starych Brodach posiada wszystkie właściwości doskonałego piwa, a pod względem dobroci, siły i smaku nie ustępuje najlepszym piwom zagranicznym. Ma ono jeszcze tę zaletę, że nie zawiera w sobie pierwiastków szkodliwych zdrowiu, co się często zdarza w innych tego rodzaju wyrobach. Można więc z całym spokojem polecić piwo z brodzkiego browaru Halperna, jako napój, zdrowy, smaczny i posilny. 4397-3-7 d.

Jedną z najstarszych firm we Lwowie, jest niezawodnie firma *Stadtmüllerów*. Ś. p. Stadtmüller, ojciec dzisiejszego właściciela był wzorowym kupcem i bardzo zacnym obywatelem — syn jego, następca handlu, idzie w ślady ojca — prowadzi zakład pod każdym względem wzorowo. Rzetelność, czystość i zdrowe przyrządzenie potraw w restauracji Stadtmüllera, są powszechnie znane. Piwnica jedna z najsławniejszych w Galicji — piwa wyborne. Osobne gabinety, w których z całą rodziną można swobodnie posilać się. Na większe uczty i zebrania w tym zakładzie są ładne lokale i wygodne, a przytem wszystkiem ceny bardzo przystępne. Dom cały jest własnością p. Stadtmüllera, w którym się też znajduje eleganckie i wygodne *chambres garnies*. 4570-3-7 d.

P. T.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić, że w moim od roku 1847 istniejącym Zakładzie, oprócz szyldów malowanych, z metalu lanych, robót lakierniczych, tudzież rytownictwa, wykonuję także sposobem chemicznym witreograwury na szkle.

Najwspanialsze rysunki od 1—5 odcieni, w każdym stylu i dowolnej wielkości, sporządzam najstaranniej na szkle tak białem, jak i kolorowem.

Takowych tafli szklanych, używanych na okna kościelne obramowania okien, oberlichty, na drzwi salonów, portalów itd., dostarczam po cenach najumiarkowańszych z zapewnieniem, iż usilnie starania dołożę, by wykonaniem w zupełności zadowolnić wszelkie wymagania i gusta.

Prosząc o jak najczęstsze zaszczycanie mnie łaskawemi zleceniami, pozostaję

Z poważaniem

G. Schapira

we Lwowie

4558 5—6 d. **tylko** l. 10 przy ul. Sykstuskiej

Chleb prawdziwy żytni, jest najlepszy z piekarni *pana Kalnickiego*. Posiada on wszystkie zalety wybornego pieczywa bez żadnych przymieszek, rzetelną wagę i doskonale jest wypieczony Pan Kalnicki znany jest jako rzetelny przemysłowiec i dobry obywatel, to też słusznie piastuje urząd cechmistrza.

Na chleb więc żytni z piekarni pana Kalnickiego zwraca się szczególną uwagę ze względu na jego dobroć. (4543-6-5 d.

Zwraca się publiczną i baczną uwagę na piwo pochodzące z browaru *Albina Kollorosa w Radziszowie pod Skawiną*. Piwo to wyborne w smaku, posiada jeszcze tę zaletę, że nie ma żadnych przymieszek zdrowiu ludzkiemu szkodliwych — jest czyste i można by je nazwać *piwem hygienicznem*, tak jest zdrowe i smaczne. Pan Albin Kolloros, właściciel tego browaru z przykładną troskliwością i znawstwem fachowem prowadzi ten browar bez wątpienia mogący się zaliczyć do pierwszorzę nych tego rodzaju zakładów. Panuje tam czystość wzorowa, ład, zamożność i obfitość w magazynach, tak samego wystałego piwa, jak i materjałów potrzebnych do jego fabrykacji. Nic więc dziwnego, że piwo to posiada ogólne nznanie w całej okolicy, a jesteśmy przekonani, że ze względu na swą dobroć znajdzie rozpowszechnienie po całym kraju. 4647—10—5 d.

Towary platerowane Jakubowskiego & Jarra w Krakowie, Rynek 26.

Cieszy nas każdy ruchliwszy objaw życia przemysłowego, na każdem polu, tembardziej energiczność i ruchliwość powyższej firmy, której towary w całej Galicji rugują powoli, ale systematycznie narzucane nam pod różnemi nazwiskami, za grube pieniądze, liche wyroby niemieckie. 4540-5-7 d.

Dowiedziawszy się, że w Tarnowie, Nowym Sączu, Jaśle są składy komisowe tejże firmy, że utrzymuje kilku ajentów podróżujących; życzymy Jej jak najbardziej pomyślnego rozwoju się w tym kierunku. *Liczni odbiorcy.*

Główny skład nafty Dawida Zinsa *w Tarnowie*, poleca się Szan. Publiczności z naftą czystą, niewybuchową, doskonale rafinowaną i oczyszczoną. Po detalicznych sklepikach, należy wyraźnie żądać nafty z głównego składu Dawida Zinsa, gdyż dobroć tej nafty jest powszechnie znaną i gwarantowaną. 4646—10—5 d.

Stefan Chromecki w Sanoku. Skład wędlin, obficie zaopatrzony. Wyroby i delikatesy masarskie przyrządzone *smacznie, czysto i zdrowo*. Ceny umiarkowane. Rzetelne postępowanie z odbiorcami jest przestrzegane na każdym kroku przez właściciela. 4662-6-5 d.

Skład i pracownia wyrobów blacharskich oraz odlewalnia z metali kruszcowych

HENRYKA BOGDANOWICZA

przedtem

HILGARTNERA

przy ul. Łyczakowskiej

Skład liczba 1 — Pracownia liczba 4

naprzeciw c. k. komory

przyjmuje tak w miejscu, jak i na prowincji wszelkie zamówienia z różnych metalów w zakres tego zawodu wchodzących, t. j. pokrycia dachów różnego systemu, oraz rynny, rury, attyki, grzymsy maszynowe, balustrady, balkony, krokszteiny, słupy do ubierania salonów, nagrobki.

Posiada wielki zapas wieńców, naczyń kuchennych i gospodarskich.

Przyjmuje wszelkie reperacje, pobielanie naczyń kuchennych, lakierowanie — i wykonuje po nader umiarkowanych cenach, w jak najkrótszym czasie. 4556 8—5 d.

Zygmunt Sternberg

we Lwowie, Rynek l. 11.

Utrzymuje na składzie mąkę z młyna parowego **Bronisława H. Raucha** w Sokalu i hurtowny zapas wiktuałów, tylko w celnym gatunku, po cenach umiarkowanych.

Codziennie świeże drożdże, które odbiera wieczorem z kolei. Na prowincję wysela za zaliczką bez opłaty.

Cenniki także gratis i franco.

4638-st.-5 d.

ANTONI ROZMANIT

KRAKÓW.

Fabryka parowa

Cykorji, Surogatów kawy i kawy figowej

w Rakowicach pod Krakowem.

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacji wszelkie gatunki Cykorji i sztucznej Kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych, tudzież doskonałym smakiem i zapachem.

Fabryka poleca przedewszystkiem:

Surogat Kawy w pudełkach (szufladkach).

Surogat Kawy w szklankach.

Kawę śrutową francuską Rozmanita.

Cykorję krakowską gorzką.

Kawę figową.

Cykorjową Kawę perłową.

Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową.

Zalecające wyroby mojej fabryki, przewyższające zaletami wszelkie tego rodzaju produkta zagraniczne, żywię niepłonną nadzieję, że Panie Gospodynie nasze, które otaczają zawsze i wszędzie swem życzliwem poparciem przemysł krajowy, zechcą i tu być pomocnemi w popieraniu i rozpowszechnianiu wytworów moich.

Do nabycia we wszystkich handlach.

4640-st. 7 d

Rafinerja spirytusu, fabryka rumu, likierów i octu

JULIUSZA MIKOLASCHA

(438$\frac{1}{2}$ st.) we Lwowie

wyrabia najczyściejszy **spirytus**, przydatny do perfumerji, do fabrykacji likierów i t. p. i sprzedaje takowy **po cenie jak najtańszej.**

Pracownia i skład

Obuwia Męskiego i Damskiego

G. WERNERA

w Krakowie ul. Szewska l. 16,

zaszczycony na Wystawie kraj. Krakowskiej 1887 r. medalem srebrnym państwowym (najwyższa nagroda za obuwie).

Mam honor oznajmić Szanownej P. T. Publiczności, iż w moim składzie znajduje się wielki wybór wszelkiego rodzaju obuwia na każdą porę roku dla cywilnych i wojskowych, w jak najlepszym gatunku; po cenach najumiarkowańszych.

Wszelkie zamówienia na prowincję według nadesłanego starego bucika wykonuję jak najpunktualniej i najsumienniej; ręcząc za dobry towar i robotę.

Przytem w moim składzie znajdują się przybory do konserwowania obuwia.

4618-6-6 d. Z poważaniem *G. Werner.*

Fabryka wody sodowej w Przemyślu,

Febusa Abeles.

Istnieje od **lat 13-tu.** — Wyrabia **wyborną wodę sodową** podług najnowszego systemu. Woda z tej fabryki pochodząca odznacza się **smakiem, czystością** i posiada **wszystkie zalety** wody sodowej **zdrowej**, takiej właśnie, jakiej wymaga hygiena. 4590 8—6 d.

Pracownia i skład

GOTOWYCH SUKIEN MĘSKICH

przy placu Halickim, l. 13.

Niniejszym mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, iż na sezon jesienny i zimowy zaopatrzyłem magazyn mój w doborowe sukna i materje wełniane, w zakres sukien męskich wchodzące, nadmieniając, iż Szan. P. T. Odbiorcy mogą tak garnitury, jakoteż pojedyncze sukmie po takich cenach otrzymać, jak w każdym magazynie izraelickim, a nadto fason zawsze najmodniejszy, zaś wykonanie sukien niezawodnie sumienniejsze.

Dziękując Szanownej P. T. Publiczności za względy, których przez lat 10 istnienia firmy mojej doznawałem, tusze sobie, że mnie i nadal takowymi łaskawie zaszczycać raczy. (4608-6-5 d).

Z uszanowaniem

Paweł Piątkowski,

Plac Halicki, l. 13.

Ważne i interesujące.

Przejeżdżając przez **Zaleszczyki** d. 15 kwietnia 1888 r. zadziwił mnie ogromny natłok ludu wiejskiego przy sklepie na którego szyldzie czytałem napis: **Skład nasion ogrodowych i rolniczych Piotra Pawła Piestrakiewicza.** Potrzebując niektórych nasion, wstąpiłem także do sklepu, aby ich nabyć. Gdym wszedł, usłyszałem, jak pan Piestrakiewicz gorliwie i ze znajomością gospodarstwa pouczał ludzi, jak mają radykalnie gospodarować. Ludzie przysłuchiwali się z zachwyceniem i każdy odpowiednio do rady, kupował nasiona. Słyszałem, jak biedni wieśniacy mówili do siebie: „mój Boże, czemu to już dawniej nie było takiej poczciwej duszy między nami — do dziś lepiejbyśmy się mieli, bo leży dużo roli puste, jak glinki, moczary, pole nieobsiane, tak, że i chudoby nie było czem wyżywić. A teraz będziemy szczęśliwi, gdyż dostaniemy wszystkiego, co naszym grunt m odpowiada, a w dodatku poczciwy człowiek nauczy, co u nas najwięcej znane i będzie czem trzodę wykarmić i dla gospodarstwa się także zostanie".

Rozpatrzyłem się po sklepie i obaczyłem **bardzo obfity skład rolnych, jarzynnych i kwiatowych nasion. Olbrzymi wybór wszystkiego.** Miejscowi ludzie mówili mi, że **każdego czasu dostać można nasion wszelkiego gatunku.** Potem wdałem się w rozmowę z właścicielem sklepu... P. Piestrakiewicz zainteresował mnie swoim układem, oraz zdolnościami fachowemi — zapytałem go — z jakich to przyczyn, tak dla ludu pracuje, pouczając go i informując. Czyn to prawdziwie chwalebny P. Piestrakiewicz odpowiedział mi:

— Jestem ogrodnikiem fachowym, a przytem obeznany jestem z gospodarką rolną i domową. Mam dwie realności i w nich to prowadzę **hodowlę przepysznych najnowszych gatunków krajowych i południownch owoców — w właściwym czasie każdy może je odemnie po niskich cenach nabywać,** przytem widząc tu w okolicach wiejską gospodarkę w najokropniejszym stanie i bardzo źle prowadzoną, nie żałuję mej pracy i udzielam biednemn ludowi wiejskiemu informacyj gospodarczej. Aby mi to łatwiej przyszło, założyłem **skład nasion po największej części z własnej produkcji, w najintratniejszych gatunkach. Udzielam je ludziom po najtańszych cenach.**

W jakiś czas potem, bo już 5. sierpnia b. r., przejeżdżałem znowu przez Zaleszczyki i wstąpiłem do tego samego składu nasion. Zastałem, jak zwykle gromadkę ludzi wiejskich, którzy w mojej przytomności składali podziękowania panu Piestrakiewiczowi za dobrą i korzystną naukę gospodarczą i **za doskonałe nasiona** — wszystkie płody podług jego rad i wskazówek doskonale się udały, a biedacy cieszyli się lepszą przyszłością.

To wszystko, co widziałem i słyszałem uważam sobie za święty obowiązek podać do publicznej wiadomości, gdyż takie dobrodziejstwa dla ogółu nie powinny zostać w ukryciu. **Sumiennie też polecam obywatelom mniejszej i większej posiadłości nasiona najwyborniejsze ze składu pana P. P. Piestrakiewicza w Zaleszczykach. Kto raz w tym składzie się zaopatrzy, ten już z pewnością nigdy się gdzieindziej nie uda.**

(4584-12-5 d. W imieniu wielu:

Andrzej Zasilski.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni „Gazety Narodowej" ulica Kopernika l. 5. — Telefon Nr. 117.

Kaprys hrabianki

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Dokończenie patrz początek w Nrze 34. „Gońca").

W tym różnobarwnym tłumie ludzi, których różne gusta i namiętności, obowiązki i próżniactwo ze wszystkich stron kraju pościągały, odnajdywałem wielu znajomych. Codzień niemal spotykałem jakąś twarz, co do której nie wiedziałem, czy mi się śniła, czy też ją w życiu naprawdę, widziałem. To kolega z pierwszych lat pobytu w gimnazjum opalony i gruby hreczkosiej, to wyelegantowany znajomy ze świata większego, to adwokat ze stron dalekich, z którym razem słuchałem ekonomii politycznej, rzucali się naprzemian w moje objęcia.

Człowiek młodniał i odświeżał się wspomnieniami.

Raz późnym już wieczorem znalazłem się w jednej z pierwszorzędnych restauracyj. Pełno w niej było ludzi i zgiełku. Stoliki gęsto obsadzone kipiały życiem, wesołością i śmiechem. Przy jednym siedziała jakaś poczciwa rodzina obywatelska, przy drugim zdradzała się złota młodzież, ciągłemi wystrzałami butelek szampana, przy trzecim, pochyleni ku sobie głowami, szwargotali z żywem zajęciem i z chciwością w oczach, bogaci przedsiębiorcy niemieccy.

Jakże różne typy! — wymuszone i naturalne, wstrętne i sympatyczne, swoje i obce, — jak w obrazie jakim, grupowały się w całość. Przeglądając te stoliki, odgadując myśli tych niby zajętych jedzeniem ludzi, bawiłem się doskonale, choć piekielny ruch restauracyjny nie pozwalał mi nad niczem dłużej się zatrzymać. Była to panorama ludzi, których ściągają wystawy i wyścigi.

Nagle uderzyła mnie twarz znajoma. Jakiś mężczyzna siedział samotnie w drugim końcu sali i zdawał się oddawać tym samym co i ja spostrzeżeniom.

Ten nieznajomy zainteresował mnie żywo szlachetnością swych rysów, głębokością i melancholią swego spojrzenia. Mógł on tylko należeć do tej klasy ludzi, w której jedynie się znachodzą rzadkie, dystyngowane swą powierzchownością, postacie.

Był młodym i przystojnym, ale twarz jego, wydała mi się dziwnie zmęczoną i znudzoną. Zdawał się patrzeć i nie widzieć, słuchać, a nie słyszeć.

Zarzucił niby w tył swe złote włosy i podniósłszy piękną głowę, puszczał kłęby dymu z cygara. Myślą nie był w tej hałaśliwej sali.

Ja go gdzieś znałem, czy kiedyś widziałem. Męczyłem głowę, aby sobie przypomnieć okoliczności, z których mi ta fizjognomia w pamięci utkwiła. Napróżno! nie ten, ani ów.

Już czułem się znużony tą moralną i gwałtowną w takich razach pracą mózgu, już chciałem gdzieindziej, skierować me ciekawe oczy, gdy nieznajomy mój, sam do siebie się uśmiechnął. Skoczyłem jak oparzony, przebiegłem salę i stając przed zadumanym blondynem zawołałem:

— Zbigniew!

Tak! to był on, powstał, spojrzał i rzucił się w moje objęcia.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie, i kazawszy sobie podać butelkę wina, gawędzili do późnej nocy.

Gdy jeden ustawał, — zaczynał drugi. Nagle, w jednej sekundzie, odżyły w pierwotnej świeżości uczucia, które z nas, w swoim czasie, robiły Orestesa i Pyladesa ław uniwersyteckich.

Już cisza zalegała ulice Warszawy, gdyśmy się rozstawali, naznaczając następne spotkanie nazajutrz, w tej samej restauracji i o tej samej godzinie.

Gdym przybył do hotelu i został sam, uczułem się dziwnie jakoś rozstrojonym. Ten Zbigniew dzisiejszy nie był tym samym, którego znałem niegdyś. Koryński odmienił się znacznie..

Spostrzeżenie to zasmuciło mnie głęboko. Czyżby czas, ten nieubłagany starzec, ogałacał wszystkich z tego, co kto ma najpiękniejszego i najszlachetniejszego?

Zbigniew nie był już tym idealnym młodzieńcem, porywającym swą poezją, zdumiewającym swą wiarą, olśniewającym swym rozumem.

Był jakby ociężały i znudzony, — pewien cynizm tłumił w jego duszy idealizm; jakieś lenistwo nie pozwalało mu wznieść się ponad poziom; jakiś realizm, sybarytyzm, zabił w nim aspiracje i porywy wzniosłe.

Okropna zmiana!

Dziesięć lat! — co one mogą zrobić z człowieka? Zamiast wzmocnić piękno ducha, niszczą nawet jego ślady.

Ktożby się, w tym dzisiejszym Zbigniewie, znudzonym i nie pragnącym niczego, domyślił tego młodzieńca, obiecującego niegdyś być ozdobą naszego pokolenia.

A jak zmienił się w swym charakterze, tak też zmienił się i w powierzchowności.

Był przystojnym, nawet bardzo przystojnym i pozostał takim, ale gdzież u licha podział się z jego twarzy ten urok poetyczny, — ta głębokość spojrzenia? Dziesięć lat! — i już wyżłobiła się przepaść między jednym i tym samym człowiekiem.

Nie poznałem Zbigniewa, nie poznawałem też i jego duszy i serca, jego zapatrywań i inteligencji. Ta zmiana dotknęła mnie głęboko; obalała ona najpiękniejsze moje teorje, zniechęcała do życia.

A może — myślałem wreszcie — czas każdego z nas w ten sposób piętnuje i może dlatego ludzie wyobrażają go sobie w postaci zgryźliwego i znudzonego starca?

Zbigniew opowiedział mi w krótkości swe życie, a wydało mi się ono dziwnie czczem i próżnem Dużo podróży, dziesięć karnawałów, mnóstwo wrażeń, kilka miłostek — oto co wypełniło żywot tego, który zdawał się nie mieć granic dla swych wzniosłych marzeń i szlachetnych ambicyj.

Cóż zrobił przy swych środkach?

Toż ja, przykuty do pługa i nie mogący wznieść się po nad poziom codziennych, zamkniętych w ciasnem kółku obowiązków, zrobiłem więcej...

Czyż Stwórca na to daje jednostkom wyjątkowe zdolności i nadzwyczajne środki, aby je tak marnowały?

Co — pytałem sam siebie niemal z rozpaczą — mogło uspić w Zbigniewie to wszystko tak piękne, szczytne, co w nim troskliwa matka wypielęgnowała, a pierwsza młodość wykształciła?

Co ze Zbigniewa zrobiło tego tuzinkowego panicza, który z nudów zjechał na wystawę rolniczą, choć, jak mi się przyznał, nic go nie obchodzą buraki, ani holendry? Co mogło usunąć mu w życiu cel? — co mogło osłabić jego wiarę? a co zamienić w cyniczny — jego dobry uśmiech?

Na drugi dzień, o godzinie dziewiątej wieczór, podążyłem do tej samej restauracji. Mieściła się ona w świeżo naówczas otwartym hotelu Brühlowskim, w pobliżu Saskiego ogrodu.

W sali zastałem już Zbigniewa; czekał na mnie przy tym samym, na uboczu stojącym, stoliku i przyrządzał tak zwany *kruszon*, z wina szampańskiego i pomarańcz.

Gorąco było na dworze, gorąco i w sali, z radością więc powitałem nietylko przyjaciela, ale i napitek.

Lecz Zbigniew wydał mi się bardziej jeszcze, niż wczoraj znudzonym. Rozruszanie go szło mi trudno. Dopiero po kolacji i po kilku szklankach rozgrzewającego i chłodzącego razem napoju, ożywił się.

Czasem oczy jego tak żywo błysnęły, taki szczery uśmiech przeleciał po ustach, iż z radością sądziłem przez chwilę, że mój dawny Zbigniew istnieje jeszcze pod zmienioną powłoką, że jeszcze wskrzesić go można.

Ale złudzenie trwało krótko; Koryński sam z pospiechem przywdziewał swą maskę.

— Wiesz! — zagadnąłem — że cię znajduję bardzo zmienionym, zmienionym wewnętrznie nie do poznania.

Zbigniew machnął ręką i odezwał się z goryczą, nie pozwalając mi dokończyć.

— Kogóżby, mój drogi, nie zmieniło życie?

Zwróciłem rozmowę na inny temat, widząc, że ten nie robił przyjemności memu przyjacielowi. W tém, w chwili rozmowy najzwyklejszej, spostrzegłem nagle dziwną i gwałtowną zmianę w twarzy Zbigniewa. Oczy wytrzeszczone zapuścił gdzieś przed siebie, śmiertelna bladość okryła jego oblicze, wargi mu drgały...

Oniemiałem, przerażony.

Domyśliłem się, że coś w sali, do której tyłem siedziałem, było powodem tej przerażającej metamorfozy

Ten nieokreślony wyraz rozpaczy, czy przestrachu na jego twarzy wzrastał; aż nagle krew, uderzająca mu do głowy, zamieniła w szkarłat jego blade oblicze.

Była chwila, w której sądziłem, że mu serce pęknie, bo słyszałem jego uderzenia. Oczy Zbigniewa na kimś zbliżającym się z tyłu wyraźnie spoczywały.

Obejrzałem się.

Około naszego stolika, przechodziła bardzo piękna i strojna kobieta. Otoczoną była kilkoma mężczyznami Twarz jej blada o czarnych oczach, jaśniała szczęściem i zadowoleniem! Toaleta jej wykwintna, zdradzała jej społeczną sferę. Z nieokreślonym uśmiechem lwicy przeszła szeleszcząc jedwabiem i patrząc oko w oko Zbigniewowi.

Zniknęli!

Spojrzałem na przyjaciela, ktory dopiero jakby odzyskując zmysły, głęboko odetchnął i opuścił się bezsilnie na poręcze fotelu.

— Co ci jest? — zawołałem.

Koryński wypił duszkiem szklankę wina, wstał, zachwiał się i z trudnością wyszeptał:

— Wyjdźmy.. tu duszno...

Oblicze jego odzyskiwało swą zwykłą bladość, a błyszczące dziwnym jakimś wyrazem oczy, miały w sobie coś krwawiącego przyjazne serce.

Wyprowadziłem raczej Zbigniewa, bo oparty na mojem ramieniu, z trudnością postępował.

— Gdzie chcesz się udać? — zapytałem.

— Chodźmy... chodźmy do ogrodu... — odparł Koryński.

Wieczór był cudny; gwiazdy, jak brylanty przedzierały swe światło przez gęstą czerwoną zieloność drzew. Zdala dochodził nas turkot i ruch wielkiego miasta, o którem zapominać kazał księżyc, spacerujący jak mocarz na swym tle błękitnego aksamitu.

Dążyliśmy w najmniej ludne części ogrodu.

— Ach! jak tu dobrze! — wyszeptał Zbigniew i pociągnął mnie ku ławce ukrytej w puszystej zieloności ogromnego kasztana.

— Jak tu dobrze — ciągnął dalej — jak dobrze zdala od ludzi, z dłonią przyjaciela w dłoni, przyjacieia, z którym się śniło i marzyło...

Uścisnął mnie. Uczułem jakby zwilżone łzami jego policzki, a on dalej mówił.

— Gdy pomyślę... temu lat dziesięć... pamiętasz czem byłem?... czemże jestem?

Urwał i milczał, a cisza ta była tak poważną, tak uroczystą, że nie byłbym się odważył jej przerwać. Czułem, jak mi się serce ściskało i cierpiałem jego wielkiem cierpieniem.

Zbigniew zaczął.

— Czyś zauważył tę kobietę?

Skinąłem głową.

— Od lat... od lat siedmiu pierwszy raz ją widzę, wypiękniała, a ja...

Urwał znowu i znów zaczął z uśmiechem konwulsyjnym.

— Mówiłeś, żem się zmienił. Nie zmieniłem się mój drogi! tylko z popiołów tego Zbigniewa, którego znałeś, wyrósł ten, którego masz przed sobą, do niczego? Tamtego zabiła, ta właśnie kobieta.

I znów zapanowało długie milczenie, Zbigniew z głową pochyloną trzymaną w obu rękach, wsparty na kolanach, siedział zadumany.

Cisza coraz uroczystsza, cisza krótkiej czerwcowej nocy zstępowała na ziemię. Czasem przerwał ją tylko ptaszek przedwcześnie zbudzony

i bijący z krzykiem skrzydłami o zielone drzew liście. Czasem kropla rosy pochyliła trawkę i uśmiechnęła się brylantem do gwiazd i księżyca.

Zbigniew się ocucił, twarz odsłonił i zawołał:

— Słuchaj mój drogi, najlepszy przyjacielu! — opowiem ci! — Gdyśmy się po ukończeniu szkół rozłączyli w Krakowie, podążyłem, jak wiesz, do domu, gdzie na mnie czekała ta najdroższa matka, ta kobieta, jakiej drugiej nie było, jakie czasem, miasto aniołów, Bóg zsyła na ziemię. Oddała mi dziedzictwo pozostawione przez ojca, powiększone przez nią i rzekła: „Marzenie moje urzeczywistnione! daję ci wszystko, co Bóg pozwolił mnie matce, dać ukochanemu synowi, bo piękną duszę, piękne ciało i piękną fortunę. Teraz do uwieńczenia mych marzeń jeszcze czegoś potrzeba. Chciałabym przed śmiercią mieć córkę i wnuka! Życie jest krótkiem, a dla mężczyzny zaczyna się z chwilą, gdy je dzieli z kobietą godną siebie, gdy go do walki z życiem i szlachetnych czynów, zachęca para figlarnych, wyciągających się do niego od łona matki, rączek. Nie szukaj długo żony i nie żądaj od niej, aby ci co więcej w posagu przyniosła, prócz dobrego serca i kochanej twarzy. Zanadto cię kochałam, aby nieraz nie myśleć o tej, która ci kiedyś mnie zastąpi. Powiem ci nawet, że gorąco pragnąc, abyś jak najmniej marnował czasu, który tak dobrze użyć można, na szukaniu żony — przygotowałam ci ją, wychowałam i wychuchałam prawie. W sąsiedztwie dorosłą panną jest Wanda X., z którą bawiłeś się dzieckiem będąc, a która łączy w sobie wszystkie przymioty, o jakich marzyć mogą — taki jak ty, młody człowiek i jego matka.

„Patrzyłam na nią, na jej wychowanie, jej cnoty i wady i nie widzę nigdzie lepszej, godniejszej ciebie żony. Uczucia się jednak nie nakazuje. Jeżeli ci się będzie podobała, będę szczęśliwą, jeżeli nie — zawód ten policzę między rozczarowania życia, — które są tak miłe, gdy je nakazuje miłość macierzyńska!

Wkrótce poznałem pannę Wandę X. Była to śliczna istota, w którą cudem jakimś, siłą swej miłości, matka moja, przelała swój urok serca, rozumu i duszy. Liczyła ośmnastą wiosnę, a była tak hożą, wesołą, naiwną i rozumną, piękną i świeżą, iż przypatrując się jej, zdawało mi się zawsze, że się przyglądam obrazowi mistrza.

W sześć miesięcy po powrocie do domu, byłem najszczęśliwszym z ludzi, byłem bowiem zaręczony z najidealniejszą dziewczyną, którą codzień więcej kochałem uczuciem tem silniejszem, im dalsze ono było od wszelkiej namiętności zmysłowej. Cóż to było za szczęście nie ziemskie, to moje życie wśród tych dwu kochających mnie kobiet! Cóż to było za szczęście niebiańskie, słyszeć codzień z ust matki, zasełaną gorącą dziękczynną modlitwę do Boga, że jej pozwolił urzeczywistnić wszystkie swoje marzenia! Cóż to za szczęście było, mieć przy sobie tę uroczą, przybraną w ciało poezję, szczebioczącą i wpatrującą mi się w oczy, z tym nadmiarem, wiary i uczucia!

Czasem zdawało mi się, że mi serce pęknie — pęknie ze szczęścia"!

Zbigniew przestał mowić zasłonił twarz rękami i zdawało mi się, że posłyszałem jakby dławione gwałtem łkanie.

Po długiej i uroczystej przerwie, zaczął:

— „Ale w okolicy, o miedzę z nami graniczył dom hrabstwa Z. znany w szerokich kołach towarzyskich, a panna Jadwiga Z. przyjaźniła się z Wandzią. Dziwna to była kobieta, rozwinięta przedwcześnie, sprytna, dowcipna i zalotna. Miała w całej swojej osobie, jakiś czar zatrważający, który ją czynił istotą niepospolitą i interesującą. Nieraz, pamiętam, spoglądałem na nią z zapytaniem w duszy, czy ta kobieta jest kobietą, czy tylko ich fałszywy odblask? Hrabianka promieniała niezwykłym blaskiem kobiecym. *Une brillante apparition*, powiedziałby francuz.

Byliśmy ze sobą bardzo dobrze; zajmował mnie jej niezwykły rozum, pociągało jej głębokie spojrzenie, zachwycała jej majestatyczna postać. Zdawała się być stworzoną na królowę. Oczy jej wzbudzały jakby jakąś nieokreśloną trwogę i gdy spojrzała na mnie, szukałem wtedy z pospiechem spokojnych ócz Wandy, by odzyskać przytomność i spokój duszy.

Mimo to, miałem dla niej wiele uczucia, któreby się określić nie dało, ale które w każdym razie było sympatycznem. Wanda nieraz o nią była zazdrosną, lecz wnet rozwiewałem te podejrzenia kochającego serca, tłumacząc szczerze i łatwo przyjemność, jaką znajdywałem w błyskotliwem towarzystwie hrabianki Z. Wanda była poezją, sielanką! tamta postacią z dramatu, czy tragedji. Wanda, to był dzień majowy o ciszy w powietrzu, o zapachach w atmosferze, dzień cudny swą jasnością, orzeźwiający spokojem i świeżością. Jadwiga — to skwarne południe dnia lipcowego, zwiastującego straszliwą burzę, a przerażającego upałem i olśniewającem słońcem.

Byliśmy zaręczeni z Wandą, a działo się to w czerwcu. Zostawiwszy narzeczoną, udaliśmy się do Warszawy — ja z najdroższą moją matką, dla dopełnienia różnych sprawunków, potrzebnych do urządzenia gniazda dla mojej jaskółki.

Warszawa była wtedy taką, jaką jest dzisiaj, a może jeszcze wyglądała świetniej. Właśnie trafiliśmy na porę wyścigów i zielonego karnawału. Hrabiostwo Z. bawili także w mieście i wydawali świetny bal, na który dostałem zaproszenie bardzo gorące. Nie chciałem iść, zwłaszcza, że Wandzi nie było, że więc i narzeczonemu nie wypadało bawić się bez niej. Ale matka moja przełamała we mnie te skrupuły i zachęciła do pójścia na ów bal przez wzgląd, że państwo Z byli sąsiedami, związanymi z naszym domem dawnym i przyjaznym stosunkiem.

Na balu długo nie mogłem się rozbawić. Ten tłum różnobarwny i strojny nie miał dla mnie uroku, bo darmobym w nim szukał mej Wandy. A panna Jadwiga tego dnia właśnie była śliczniejszą, więcej niż kiedykolwiek, pociągającą i... demoniczną. Przypatrywałem się jej z tą przyjemnością, z jaką znawca sztuki bada w szczegółach portret wyszły z pod pędzla znakomitego artysty. Nieraz rzucała na mnie wejrzenie, które mimowolnie opuszczało powieki na mych oczach, bo w tem wejrzeniu było znowu coś dziwnie niebezpiecznego.

Już zabierałem się do odwrotu z tej gwarnej i lśniącej sali, gdy zbliżyła się do mnie panna Jadwiga i wpijając w twarz moją swe oczy błyszczące jak brylanty, czarne jak węgle, przeszywające jak iskry elektryczne, zagadnęła:

— Panie Zbigniewie! nudzisz się pan bez Wandzi, cóż ja na to poradzić mogę?

Zamyśliła się, a swe oczy tak głęboko zapuszczała na dno mego serca i duszy, tak były te oczy tajemniczo złowrogie, że zacząłem drżeć na całem ciele, jakby pod gwałtownem wrażeniem przestrachu. Ona stała, aż nagle, podnosząc głowę swym majestatycznym ruchem i uśmiechając się swym demonicznym uśmiechem, zawołała:

— Doskonała przychodzi mi myśl, panie Zbigniewie. Jako przyjaciółka Wandzi, mam obowiązek zabawienia pana. Chcesz pan? zabawimy się w narzeczonych; przez cały wieczór będziemy udawali narzeczonych i zaraz zaczniemy od mazura, którego dla pana zatrzymałam. To będzie bardzo zabawne! — razem pójdziemy do kolacji. Pan będziesz rzucał zazdrosne wejrzenia, ile razy kto do mnie się zbliży, ja spoglądać będę na pana ot tak...

I spojrzała na mnie, przewracając oczami, jak najlepsza aktorka. Wkrótce muzyka zabrzmiała skocznym mazurem. Pierwsza panna Jadwiga przyskoczyła do mnie w pląsach i podając mi swą marmurową rączkę zawołała:

— Zaczynamy *Monsieur mon fiancé!*

Zaczęlismy tę zabawę w narzeczonych, która skończyła się dopiero, gdy światło lamp, dobrze już zbladło przy wdzierających się przez okiennice promieniach słońca! Wyszedłem tak dziwnie rozstrojony, tak oszołomiony, tak ogłupiały, a tak przytem zawstydzony i zmieniony, że nigdybym się nie odważył spojrzeć w oczy ukochanej mej matce.

Nie poszedłem też do niej, lecz pierwszym odchodzącym na zachód pociągiem, uciekłem z Warszawy, z kraju, uciekłem — Boże! od mej matki, od Wandy!

Udałem się do Paryża, i ztamtąd listem, który mógłby być pomnikiem dziwacznego stylu i szału, wywołanego parą ócz takich, jak miała Jadwiga, rozdarłem dwa słabe i gorąco kochające serca.

Długo bawiłem za granicą. U wód, w Niemczech zjechałem się z hrabiostwem Z. i cały sezon bawiliśmy się z Jadwigą w narzeczonych.

Gdy wróciłem do domu, miałem tylko czas zamknąć oczy mej matce, która umarła z dziwnie smutnym uśmiechem na ustach, szepcząc słowa błogosławieństwa i trzymając na mej głowie swe zimne dłonie.

. . . .

Zbigniew urwał i szlochał. Płakał długo i jak dziecko, bo łzy duże, gorące spływały mu po policzkach.

Gdy się uspokoił, zagadnąłem cicho.

Dokończ Zbigniewie!

Koryński się rozejrzał. Noc pierzchła przed słońcem, które już gdzieś daleko rozjaśniło od wschodu niebo. Panowała cisza, jaka panuje zwykle przed pojawieniem się dnia. Koryński złamanym głosem mówił dalej.

— W pół roku po śmierci matki zapytałem hrabianki Z., czy nie uznaje tego, że nasza zabawa powinnaby przejść w inną fazę. W odpowiedzi spojrzała na mnie tak, jak spoglądała czasem, tem wejrzeniem, którem mnie oszołomiała na balu, w Ems i wszędzie, i wyszeptała niewyraźnie, abym pomówił z jej ojcem. Spieszno mi było poświęcić tej kobiecie me życie, spieszno mi było u nóg jej zapomnieć ostatniego uśmiechu mej matki, ostatnich łez Wandy. Udałem się natychmiast do hrabiego. Odparł mi, że dobrze, że dawno żywił nadzieję oddania w ręce syna przyjaciela, największego swego skarbu. Lecz kładł jeden warunek, od spełnienia którego zależało połączenie stułą naszych dłoni. Ten warunek...

Zbigniew zaśmiał się śmiechem gorzkim i dalej śmiał się spazmatycznie, dziko!

— Dokończ! — zawołałem.

— Ten warunek był i jej warunkiem — ciągnął uspokojony Zbigniew. — Hrabia Z. wygrzebał gdzieś, że rodzina Koryńskich miała prawo do tytułu hrabiowskiego i żądał bym się wylegitymował, bo córka jego nie chciała zrobić mezaliansu, idąc za zwykłego szlachcica. Jak szalony wybiegłem z pokoju i nie oparłem się aż gdzieś za granicą. Gdym wrócił, Jadwiga była hrabiną M., a dziś pierwszy raz ją spotkałem.

— Widziałeś — dodał — jej uśmiech? ten sam! ten sam zawsze! choć on to zrobił mnie takim, że mnie poznać nie możesz.

Koryński zerwał się z miejsca i ruszyliśmy ku miastu, a słońce już okrywało brylantami szmaragdowe powierzchnie ogrodów.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. — Telefon Nr. 117.